

Ojczyzna pańszczyzna na wieki wieków amen

27 stycznia 2015

Po śmierci Józefa Oleksego jeden z portali przypominał wywiad, jakiego polityk udzielił „Dziennikowi Trybuna” w 2013 r. W rozmowie z Agnieszką Wołk-Łaniewską, długoletnią współpracownicą Jerzego Urbana z tygodnika „NIE”, były premier barwnie opowiadał o swojej karierze politycznej jeszcze w poprzednim ustroju. Istotny wątek rozmowy dotyczył kwestii dość dla Polaków wstydlivej – awansu społecznego czasów PRL, którego dziedzicami są przecież dzisiejsze pokolenia. Życiorys Oleksego jest pod tym względem nieledwie wzorcowy – inteligentny i ambitny prowincjusz z niższych warstw społecznych zdobywa średnie wykształcenie (właściwie dzięki przykościelnej szkole), później trafia na studia na Wydziale Handlu Zagranicznego Szkoły Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie. Rok po marcu 1968 zapisuje się do partii, a już niespełna 10 lat później zasila wysokie kręgi władzy.

Dopełnieniem tej rozmowy jest inny wywiad, jakiego Oleksy udzielił Robertowi Mazurkowi w „Rzeczpospolitej”. Podsumowując swoją działalność w Polsce Ludowej polityk stwierdzał w nim: „Właściwie żyłem porządnie, starałem się nie wyrządzać ludziom zła, nie krzywdzić ich. Nawet jak byłem w reżimie komuny, unikałem sytuacji, w których bym czegośkolwiek nadużył, kogoś sponiewierał.” Po lekturze tych wywiadów lepiej zrozumiałem, na czym polega fenomen zaangażowania Polaków w komunizm. I co, najprawdopodobniej, wciąż stanowi dziedzictwo „polakokomuny” w naszych realiach.

W czasach Polski Ludowej dokonała się duża transformacja społeczna, w znacznej mierze związana głębszymi procesami zachodzącymi w naszym kręgu cywilizacyjnym. Opierała się ona na migracji mas ludności ze wsi do miast, narzuceniu społeczeństwu wielkomiejskiej modernizacji, której

podstawowym elementem był wzrost znaczenia przemysłu. Pod tym względem dynamika realnego socjalizmu niewiele różniła się od modelu rozwoju przyjętego w świecie kapitalistycznym. W obrębie obu systemów bodaj najistotniejszym elementem modernizacyjnej układanki była industrializacja i mniej lub bardziej udane próby upowszechnienia dobrobytu. Także po to, żeby pracownik najemny/robotnik, sprzedający „tanią siłę roboczą”, wegetujący na obrzeżach społeczeństwa, państwa i rynku, mógł stać się obywatelem, konsumentem, człowiekiem zdrowym... i przewidywalnym w swoich wyborach politycznych. W krajach Zachodu te warstwy społeczne, które według słów Marksa nie miały nic do stracenia oprócz kajdan, wykorzystały sprzyjające warunki rosnącej demokratyzacji życia publicznego, zorganizowały się i wywalczyły sobie prawa do większego udziału w wypracowywanym kapitale. Z czasem, po dekadach ciężkich walk o swoje, twarde robotnicy i ich kasłające gruźliczą krwią żony przemienili się w drobnych ciułaczy, turystów zwiedzających świat i emerytów spędzających leniwie czas z wędką. A dzieci poszły do szkół, zamiast na drugą zmianę.

W świecie realnego socjalizmu to satelickie wobec Związku Radzieckiego monopartie były gwarantem tutejszej wersji „państwa dobrobytu”. Projekt okazał się mniej udany niż zachodni tak na poziomie gospodarczym, jak i obywatelskim. PRL-owski awans społeczny nierzadko okazywał się problematyczny. Albo trzeba było płacić za niego lojalnością wobec skorumpowanej monopartii, albo – co pokazuje historia regularnych robotniczych wystąpień – towarzyszyło mu ciągłe poczucie braku i krzywdy; poczucie awansu społecznego, ale ze ślepą kuchnią, krzywymi ścianami mieszkania w bloku, sklepowymi kolejkami i zapisami na radio, telewizor, lodówkę i pralkę. Niby wszystko było – ale często na niby. Prowizorka i bubel – te słowa dobrze zapamiętałem z interwencyjnego programu konsumenckiego z telewizji czasów PRL. Dorzucić można by było jeszcze „lojalkę” – i mielibyśmy realny socjalizm w pigułce. Najkrótsza z możliwych historii Polski Ludowej: nad

pomyślnym trwaniem niepomyślnego systemu czuwali chłopscy synowie z awansu społecznego, pilnujący innych chłopskich synów, którzy z bezrolnych i małorolnych przemienili się w wielkoprzemysłowy proletariat.

Aktorów na tej scenie da się wymieniać po nazwiskach: po jednej stronie Anna Walentynowicz, robotnica z PRL-owskiego awansu społecznego, kobieta nieustępliwa i zajadła, która użerała się z władzą o nieświeże jajka w przyzakładowej stołówce. Po drugiej stronie – Józef Oleksy, rzemieślnicze dziecko spod Nowego Sącza. Był on, jak sam mówił, dobrym człowiekiem. Cenił też, co arcyłudzkie, święty spokój i miłe luksusy. To, że ktoś kogoś bezkarnie bił w imię socjalizmu i władzy ludu, że z folwarków i robotniczych osiedli wyzierała nędza – to szczegóły z wielu przyczyn dziś nieinteresujące, tak jak mało interesująca dla beneficjentów aktualnego systemu są dzisiejsze bieda i wyzysk. Jowialni, mili (starsi) panowie o delikatnych palcach i podniebieniach smakoszy, chętnie zapominają o takich szczegółach – niezależnie od ustroju.

Tu ktoś zawoła oburzony: a dlaczego autor nic nie mówi o żydokomunie?! Dlaczego nic nie ma o sowieckim imperium, nadzorującym kolonialne projekty określane mianem „ludowych demokracji”. Problem z tym wątkiem polega na tym, że bardzo często stanowi świetny pretekst do tego, by w ogóle nie mówić o polakokomunie, czy też – patrząc szerzej i głębiej – o pańszczyźnianym dziedzictwie, zachowanym w obyczajach i strukturach społeczno-gospodarczych. A przecież pańszczyzna, komuna i kapitalizm po polsku stanowią różne historyczne wariacje na ten sam temat – wewnętrznej i zewnętrznej kolonizacji. Józef Oleksy to nie tylko twarz, to nie tylko imię i nazwisko. To maska, którą da się nałożyć na wiele, bardzo wiele postaci w naszych dziejach – od zarządców folwarków, do polityków III Rzeczypospolitej, przez kastę rodzimych menadżerów, ekspertów i publicystów, zarządzających gospodarką, instytucjami i wyobraźnią społeczną Polaków. Oni wszyscy niczemu nie są winni. Potrafią być mili dla

sprzątaczek i kelnerów. Oni tu tylko nadzorują i zarządzają, zgodnie z wytycznymi określonej epoki. A przy okazji – dobrze z tego żyją, pilnując, żeby polaczki-biedaczki znały swoje miejsce w tak a nie inaczej urządzonej rzeczywistości.

Ta kolonizacja ma także swoją drugą stronę. Jeśli wnikliwiej przyjrzeć się polskiej historii, to jest to lekcja ubezwłasnowolnienia szerokich mas. Powtórzę oczywistość nie dość wciąż oczywistą: polskie społeczeństwo jest społeczeństwem pochłopskim. I społeczeństwo to praktycznie nigdy w dziejach nie było na dłużej (i na serio) podmiotem własnego życia społeczno-gospodarczego. Nie ma niemal żadnych doświadczeń z budowaniem instytucji własnego, suwerennego państwa. Nie odziedziczyło ich jako trwałego nawyku, trwałej zdolności wypracowanej przez następujące po sobie pokolenia. Może dlatego zawsze czuje się wobec państwa obco – nawet gdy zasila jego administrację, instytucje publiczne, struktury centralne. Wie, że państwo można oszukać z korzyścią dla siebie, swojej rodziny i znajomych, ale często nie wie, jak je budować. Zaś władze państwa i wyższa kasta urzędnicza, także w zasadniczej mierze pochodzące z awansu społecznego, łatwo wchodziły w buty „nadzorców folwarku”. Pomocą w tym względzie służyły i służą mechanizmy kooptacji, czyli dostosowania do reguł gry wyznaczanych przez mniej lub bardziej brudny kapitał społeczny. W skrócie: dołączenie do elity niemal zawsze wiązało się z przyjęciem logiki zarządców folwarku, ze współnictwem w korupcji, naginaniu prawa, przemykaniu oczu na złodziejstwo, uznaniu, że wszystko jest trochę na niby, poza własną kiesą. Posłuchajcie kuluarowych rozmów nadzorców zasobu ludzkiego – często właśnie to w nich usłyszycie.

Oto polska tragedia: konieczność wmyślenia się i wżycia w logikę panów obcych i swoich, właścicieli wielkich majątków i latyfundiów, przez tych, którzy mają ambicje, potencjał i zdolności. Z ciasnych izb, z baraków robotniczych, z (naj)gorszych dzielnic wielkich miast, z zabitych dechami wioszczyn niektórzy szli, idą i będą dalej „iść w pany”. Za

jaką cenę? Przyjęcia cudzych reguł gry dotyczących tych grup społecznych, z których „się wyszło”. Niewiele się tutaj różni prowincjusz Oleksy, „gubernator Polski wschodniej”, polujący z flintą w przygranicznych lasach, od dzisiejszych „nowopolaków”, którzy odpoczywają w termach w Białce Tatrzańskiej i wydają tam dziennie kwoty, jakie większości polskich rodzin muszą wystarczyć na miesięczne utrzymanie.

Być może Oleksy był bardziej od nich sentymentalny, być może częściej śnił mu się w nocy obraz Najświętszej Panienki i umęczona ojczyzna jak postaw sukna na wszystkie strony rozdzierana. Ale na dobrą sprawę oni wszyscy realizują systemowe wytyczne swoich czasów. Dawno temu mówili językiem ludzi z dworów, później językiem sanacyjnych pułkowników, po wojnie mową okołosowieckiego marksizmu. Dziś mówią językiem wypracowanym na potrzeby wielkich instytucji finansowych. A zawsze wypowiadają swoje kwestie z wielkim przekonaniem – nawet gdy uronią przy tym łzę lub skrzywią usta w życzliwym grymasie współczucia. I zawsze są pewni, że tak właśnie trzeba, że inaczej nie da się z polakoludem, z polakobiedą, polakonajemnikami. Choć sami są polakoludem i polakonajemnikami. Od reszty społeczeństwa różni ich to tylko, że za swoje podwykonawstwo – biznesowe, medialne, polityczne czy ideologiczne – więcej dostają. W ich polakobigosie o smaku sushi więcej jest tłustych kąsków, gdy reszta musi napchać brzuch kapustą. Jest kwestią kulturowej otoczki, czy jedzą to danie z (cudzych) sreber rodowych, na porcelanie kupionej w komisie czy z drogich designerskich talerzy. Jest zwykle kwestią nadbudowy, czy przed posiłkiem robią znak krzyża, czy wyznają inne wiary i światopoglądy.

Tu uwaga konieczna dla zniuansowania obrazu: kolejne wcielenia poddaństwa nie zawsze podlegają logice zerojedynkowej. Relacje władzy i dominacji przebiegają w poprzek przez różne szczeble hierarchii władzy, pieniądza, zarządzania ideami. Dlatego dobry Polak pracujący w PRL jako kierownik sklepu meblowego, szefowa lokalnego Pewexu czy kaowiec na rejsie po

nadbałtyckich ośrodkach czasowych „tylko się dopasowywali”. Komunie wierzyli mniej lub bardziej, ale zawsze dbali o swoje. Byli w partii albo nie byli, ale podstawiali miseczkę, gdy skapywało. Byli w „Solidarności” albo nie byli, ale i tam podstawiali miseczkę. Jak to śpiewał Kelus? „Wierzący co wierzą, że muszą być w Partii / bo żona bo dziecko bo raty bo maluch / partyjni co chyłkiem przyjmują komunię / bo bony na cukier bo bony do raję.” Byli zdeprawowani? Nie wątpię, choć ich demoralizacja miała inny kontekst, niż demoralizacja wysokiej rangi polakoczynowników.

Co najistotniejsze: z pokolenia na pokolenie uczono ich, że z głębin biedy i polakopańszczyzny można wydobyć się tylko chłopskim sprytem i zaradnością, nadstawianiem miseczki albo pleców. Niewiele mieli innych wzorców, a ich dzieci i wnuki też nie mają ich zbyt wiele. Dzisiejszy system opiera się o bardzo podobne mechanizmy, choć na całe szczęście jest mniej szczelny – w takim chociażby sensie, że nie operuje już hasłami „powszechnej jednomyślności”. Obojętnych i niechętnych pozostawia na ogół samym sobie – jeśli ktoś nie chce uczestniczyć w jego rytuałach i obchodach na cześć, to może się wycofać i nie musi w tym celu emigrować w Bieszczady ani na Mazury. Może wyjechać za chlebem albo znaleźć sobie w ramach polskiego systemu jakąś niszę. Przy łucie szczęścia nawet ta nisza może okazać się złotą klatką – choćby dla koncesjonowanych radykałów.

Na pogrzebie Józefa Oleksego dwóch prezydentów ogłosiło, a biskup ich słowa potwierdził święconą wodą, że zmarły był wybitnym politykiem i prawdziwym patriotą. Wszystko się zgadza i pięknie wpasowuje w wielowiekową tradycję polakopańszczyzny. Tutaj surmy złote grają tym, co zwykle. Tak już być musi. Na wieki wieków amen i o jeden folwarczny dzień dłużej.

Autorstwo: Krzysztof Wołodźko

Źródło: [Nowy Obywatel](#)